④# Czubek periodyczny

Skład redakcji:

Bartłomiej Figura, Michał Maciąg

Nr 1/2015 30.03.2015



„Czubek wieńczy dzieło."

M. Maciąg

List zamknięty

Szanowni Domyślcie się, Kto,

Nie doceniamy was i irytuje nas wasze zachowanie. Bez wątpienia zasługuje ono na naganę. Poprzez swoje czyny doprowadzacie do tego, że nie mamy ochoty pracować nad czymkolwiek. Nawet nad tym, co wydawało nam się konieczne. Nie mamy nadziei, że się to nie zmieni. Kolejną kwestią, której nie chcemy poruszyć w naszym liście zamkniętym nie jest fakt, że szybkie odseparowanie was od reszty cywilizowanego świata, na czele z redakcją naszej gazety, jest czymś, czego nie popieramy i co zwalczamy, gdyż nie dbamy o brak interesu społecznego w obcej placówce edukacyjnej. Dalszą część listu kierujemy również do osób spoza wymienionych. Obca jest nam również sprawa braku cofania się kultury i chałtury w obcych państwach, a zwłaszcza wśród osób w podeszłym wieku. Nie chcemy mówić o braku kultury i rozwoju sztuki, a także przykładać ręki do dzieła tworzenia. W tym momencie radzimy przestać czytać ów list zamknięty wszystkim, których interesuje sprawa ta sama, która została poruszona powyżej. Nie jest to związane z naszą gazetą. Poza tym list tamten będzie jeszcze długi i rozwlekły. Odradzamy nabywanie naszego pisma i radzimy nie łączyć z nim żadnych większych projektów. Na początku nie chcemy podkreślić, że nie doceniamy Domyślcie się, Kogo.

Z pustką werbalną i wyrazami niechęci do wszelkiej pracy,

Redakcja



Michał Maciąg

Wtórnik (351)

Jam awanturnik.
Zgubiłem wtórnik.
Pójdę na łowy.
Wyrobię nowy.
Niedoczekanie!
Piszę podanie.
Pamięć zanika.
Wtórnik wtórnika?
Brakuje słowa.
Ach, polska mowa…
Czy trójnik może?
Ach, dobry Boże!
Nie trójnik raczej.
Raczej inaczej.
Był komunikat:
„Jest już duplikat”.
To nie przeleci.
Ten wszak jest trzeci.
Język jest katem.
Triplikat zatem?
Nie. Znak mnożenia?
To zamysł zmienia.
Chcę kopię kopii…
Filip z konopi.
Wariat, lebiega.
Ktoś to dostrzega?!
Wtórnik wtórnika…
Coś stąd wynika.

Jak oćca ociec.

Ech, trudno dociec.

Jak dziadka dziadek.

Ciężki przypadek.

Ale jest rada.

Rada od dziada…

Więc dziada warta.

Dziadowska karta?

Drapię się w mankiet…

Może prablankiet?

I znowu pustka.

Senior – przepustka?

Jak niewygodnie!

Już dwa tygodnie.

Wchodzę bez karty.

Czerep uparty.

Język nie służy.

To areszt wróży.

Do czytelnika:

Pilnuj wtórnika.

10 marca 2015 roku 

Bartłomiej Figura

Czym się różni królik od marchewki?... – Część 1.

– Czym się królik różni do marchewki? - Michał podszedł do grupki gimnazjalistów stojących obok sklepiku. Ci wytrzeszczyli na niego oczy.

– Czym się różni co…? Yyy… od czego?... – zapytał jeden z nich, najwyraźniej najbardziej ogarnięty.

– Królik od marchewki. – powtórzył jeleń. Gimnazjaliści dalej patrzyli na niego trochę dziwnie, ale chyba już zaczynali pojmować, o co mu chodzi.

– Królik od marchewki? – zaczął ten, który zareagował pierwszy. – Królik od marchewki? A jest jakaś różnica?

– No właśnie, jest? – dociekał dalej licealista. I w końcu padła odpowiedź:

– Nie ma.

– Tego oczekiwałem – skwitował jeleń. – Nie ma różnicy między królikiem a marchewką. Jedno i drugie prędzej czy później trafi na stół i zostanie zjedzone. I, paradoksalnie, marchewka jest tutaj nawet w lepszej sytuacji – ona przynajmniej nie będzie cierpieć. - Pierwszaki tylko pokiwały głowami. Zapadła cisza. Korytarz szumiał gwarem rozmów, ale w tej ciszy było coś dziwnego, coś apokaliptycznego. Coś czego nawet Michał nie mógł dookreślić. Tak, coś naprawdę dziwnego. Coś co było… - No właśnie, jakie? – w pańskiej opowieści brakuje wstępu, rozwinięcia i zakończenia – to był głos woźnego, który prowadził to idiotyczne przesłuchanie. – Brakuje w niej wszystkiego, a to oznacza, że jej nie ma. Dobra, wpisane. Odmówił pan składania zeznań w dniu dzisiejszym. – stwierdził i opuścił celę, a w zasadzie to pokój kierownika, i skierował się na pierwsze piętro. Michał jednak nie przejął się tym i kontynuował swoją opowieść, mówiąc do starych ścian i pustego krzesła. Na drugim siedział on sam, a drzwi były otwarte. Za oknem rozkwitała jesień. – Wracając do tematu, – przerwał ciszę jeleń – należy przyjąć, że rosyjska ballada romantyczna wzniosła się przynajmniej na równi z niemiecką, a to oznacza, że…

– To niczego nie oznacza – przerwał mu ten sam chłopak, co przed chwilą

– Nietzschego na pewno

– Dobra, przestań grać marchewkę, mów, czego od nas chcesz. – I jeleń przystąpił do objaśniana planu 010.

Obserwując wysiłki mojego towarzysza, zastanawiałem się nad ich sensem. Sens ten, owszem głęboki, ścierał się z jego koncepcją wszechświata mniej więcej w tym samym miejscu, w którym rozpoczynał się wszechświat, a rzeczywistość nabierała nowego sensu, jednocześnie tracąc inny. Tak, jego wysiłki przedstawiały sobą cechy metamorfistyczne, które dostrzec dało się ostatnio tylko u osobników, którzy odwiedzili składzik ze szczotkami. Składzik ten przedstawiał sobą dosyć ciekawy obraz. Obraz, który miał dosyć rozległe, a jednocześnie zawężone pole działania. Wraz z zagłębianiem się między szczotki rzeczywistość zmieniała się, by po przekroczeniu granicy szczotki Lorda Jamesa nie powrócić do dawnej rzeczywistości. Dawna szkoła zmieniała się wówczas w dżunglę, a ludzie? No, cóż, to właśnie stanowiło zagadkę. Nikt kto przekroczył Linię Lorda Jamesa nie wrócił stamtąd. Sytuacja przedstawiała się co najmniej niebezpiecznie. Jednak my nie baliśmy się nowych wyzwań. I właśnie dlatego pytaliśmy się ludzi o królika i marchewkę.

Plan 010, cóż, bardzo stary i bardzo archaiczny. Zakładał obejście ewentualnej dżungli od południa, a następnie zapuszczenie zwiadu ku górze, w celu sprawdzenia możliwości przebrnięcia przez wysypisko śmieci. Rzeczywistość nie negowała cechowości krnąbrności podziemi, lecz witała je coraz gorszym synchronizmem plakatów i rombów kwadratowych. Było to niewątpliwie związane z ulatującym czasem, manewrami na powierzchnie podpowierzchni i wierceniu dziury w dziurze. To musiało powodować, że siła grawitacji odpychała hominidy od przejścia tunelem przestrzennym do

piwnicy Lorda Jamesa. Tunel ten, zbudowany jeszcze przez dziadka Lorda Jamesa, był niewątpliwie jednym z najciekawszych osiągnięć epoki komputera łupanego. Nastąpiła ona bowiem po epoce wieków ciemnych, która zapisała się między innymi zniszczeniem wszystkich komputerów w całość, a następnie uruchomieniem ich przy pomocy rąbania siekierą, aż do ich całkowitego zniszczenia. Metoda ta, mimo, że czasochłonna, była jednak najmniej popularną z nich wszystkich. Powodowało to dodatkowe komplikacje z powodu nadmiernej ilości masła w margarynie, co skutkowało odkryciem złóż plastiku pod drzewem gruszy. Tak, był to plan archaiczny, ale oni tego nie wiedzieli.

A więc chłopak nazywał się Ricardo Vielomiano. Zresztą nie jest tak ważne jak się nazywał. Ważne, że szybko się uczył. Plan 010 zarzuciliśmy, gdyż był za bardzo archaiczny. Zdecydowaliśmy skupić się na kwestii stworzenia platformy przeciwwiertniczej, która korespondować miała z postawionym na drugim końcu szkoły korespondentem prasowym, obsługującym wykres funkcji kwadratowej. W połączeniu z przeprowadzeniem sekcji kąta stawało się to zadaniem trudnym i wymagającym. Rano, następnego dnia po naradzie czekałem na Michała. Spóźniał się. Już drugą godzinę go nie było. W końcu przyszedł. Elegancko, koszula w kratę, ręce obmalowane na nadgarstkach długopisem, widać było, że był zmęczony. Gdy zapytałem go, co się stało on odpowiedział tylko, że próbował wyrwać murom zęby krat. W sumie był to całkiem niezły pomysł na happening, ale przydałyby się prawdziwe kajdanki. Tego dnia mieliśmy zrobić coś nowego. Mianowicie znowu przyniosłem ze sobą słoik. Słoik, który otaczają już legendy, a tego, czym on tak naprawdę jest nie wie nikt. Słoik pokoju, nowy kierunek w sztuce, a może broń biologiczna? Na to pytanie nikt nie potrafił odpowiedzieć. Co ciekawsze, ja też nie. Co? Zdziwieni? No, tak, bo przecież twórca powinien wiedzieć, co stworzył. A w tym wypadku, w obiegowej opinii, dzieło było moje i Michała. Jednak prawda była inna.

Pamięta ktoś jeszcze Sędziwego Ojca z Avinion? Młodszych nie pytam. (Choć może o nim słyszeli.) Otóż ów Sędziwy Ojciec z Avinion, po którym słuch zaginął już jakiś czas temu, pojawił się na nowo. Gdzie? – zapytacie. Otóż ów słynny człowiek pojawił się bardzo blisko was i nas wszystkich. Pojawił się tam, gdzie najmniej się go spodziewano i najmniej obawiano. Pojawił się tam, gdzie nazwa Avinion od dawna budzi obawy o suwerenność Kościoła. W jednym z centrum budowania przyszłości, centrum kształtowania prawdy i odkrywania wiedzy, w jego może największym centrum edukacyjnym w Polsce – w naszej szkole, w Biskupiaku. Tak, Sędziwy Ojciec jest w naszej szkole. Sędziwy Ojciec uczy w naszej szkole, Sędziwy Ojciec odgrywa ważną rolę w życiu codziennym naszej szkoły. Jednak przy całej jego dobrej działalności pojawiają się i inne głosy. I są to głosy uczniów, którzy dbają o tradycję jako ważny składnik nauczania Kościoła i nie chcą pozwolić, by następowało odejście od doktryny. I, trzeba to podkreślić, czynią słusznie. Właśnie wśród tych ludzi pojawiają się głosy, które każą poważnie zastanowić się nad prawdziwą rolą Sędziwego Ojca w wydarzeniach społeczności Biskupiaka. Głosy te mówią wyraźnie, że za działaniami Sędziwego Ojca stoją wrogowie Kościoła i Człowieka, a mianowicie – masoneria. Nie wiemy czy rzeczywiście jest to faktem, ale Chińczyk twierdzi, że cały czas mu płacą. A to właśnie z Sędziwym Ojcem wiąże się poranne spotkanie moje i Michała.

Gdy jeleń przyszedł, do lekcji pozostawały jeszcze trzy godziny. Dlaczego więc spotykaliśmy się w takich okolicznościach? Dlaczego zamiast spać zrywaliśmy się rano i pędzili do szkoły? Dlaczego nie mogliśmy czekać? Odpowiedź na to pytanie jest bardzo prosta. Mianowicie, dopiero wczoraj wieczorem zreflektowaliśmy się, że słoik ten pochodzi z nieznanego źródła, a potencjalne niebezpieczeństwo zwiększa dodatkowo to, że przekazał nam go Sędziwy Ojciec. Wobec tego faktu

nie mogliśmy pozostać obojętni. Stąd konieczne było spotkanie o tak wczesnej porze, gdy ludzi jeszcze nie ma w szkole i próba znalezienia odpowiedzi na pytanie – czym tak naprawdę jest ten słoik.

I gdy tak staliśmy, w świetle, które poranne słońce rzucało na korytarz na trzecim piętrze, usłyszeliśmy kroki. Natychmiast schowaliśmy słoik do plecaka Michała i rozpoczęliśmy dyskusję na temat Japońskich Sił Samoobrony. Po chwili w okolicach kaplicy ujrzeliśmy znajomą sylwetkę. Odetchnęliśmy z ulgą. Ku nam powoli zbliżał się Starzec z Windsoru. Człowiek ten dołączył do nas ku naszemu ogromnemu zdumieniu, dopiero całkiem niedawno. Nasza grupa do zadań specjalnych składała się więc już z czterech osób. Gdy w końcu dotarł do okna, pod którym staliśmy, musieliśmy mu wyjaśnić powody, dla których nie poinformowaliśmy go o spotkaniu. A to wcale nie było takie proste.

– No, więc, wytłumaczcie się.

– Słoik. – powiedział Michał, tonem mającym mówić: przecież to takie oczywiste.

– Powidła. – odpowiedział zaskoczony wuj Antoni, który dotarł do okna chwilę później.

– Śliwki. – to był głos Starca. I teraz zaczęła się gra w ustalonej kolejności: ja lub Michał, wuj, starzec.

– Sad.

– Tarcze.

– Królik.

– Wojna.

– Siekiera.

– Rąbie

– Stół.

– Co?! Przecież to absurdalne. Nie trzeba rąbać stołu. – przerwał starzec.

– Nie? – uprzejmie zdziwił się Michał

– Nie, przecież już jest porąbany.

– Naprawdę? – to był głos Chińczyka

– Naprawdę, a jak nie wierzysz to idź zjedz śniadanie. Już można.

– Idziemy.

Po czym wyszli, a my wciąż nie wiedzieliśmy o co chodzi ze słoikiem. No cóż, tak to już bywa, że nie każdy słoik ma proste przeznaczenie.

W tym mniej więcej momencie kapral przybył do szkoły. Jego domeną nie był wszak słoik, lecz dziennikarstwo. I to dziennikarstwo na najwyższym światowym poziomie. W zasadzie to o dziennikarskiej pracy kaprala można by powiedzieć wiele, ale moim zdaniem trzeba, przynajmniej w tym wypadku, zacząć od początku. Mianowicie, kapral jest osobą bardzo tajemniczą. Mało kto wie,

czym tak naprawdę się zajmuje oraz co robi, gdy się nie uczy. Informacje o nim trzeba stopniować, wynika to między innymi z tego, że sami cały czas je zdobywamy, analizujemy i weryfikujemy. Jak już wspomniałem kapral jest osobą bardzo tajemniczą. Niewiele wiadomo na jego temat. Jednak z pewnych informacji, które już udało się zdobyć można stworzyć krótki podręcznik dotyczący historii jego działalności. Pierwszym wydarzeniem, w którym brał udział, a na który to udział istnieje potwierdzenie w źródłach, jest wojna trzydziestki dwójki czy inaczej wojna jednogodzinna. Wojna ta stoczona była w sali obrad, a zgromadzenie ogólne ONZ po prostu pożarło się między sobą. Kto śledził jej losy ten doskonale pamięta bezradność Sekretarza Generalnego czy latające kartki i papierowe samoloty. Warto nadmienić, że latały również oparcia od krzesełek. Ten krótki, ale burzliwy czas, nasz dziennikarz spędził dosłownie na linii frontu, siedząc schowany pomiędzy walczącymi stronami. Innym wydarzeniem jest mecz piłki ręcznej rozegrany na sali obrad. Co ciekawe, w tym wypadku Sekretarz Generalny nie dał po sobie poznać, że coś jest nie tak. W obu tych wydarzeniach brał udział jeszcze jeden dziennikarz, ale jego historia jest czymś zupełnie odrębnym.

Czy ktoś pamięta jeszcze Księcia? Nie? No, cóż, nie dziwi mnie to. Jest to jednak osoba bardzo intrygująca, chociaż mało znana. W czasie wojny trzydziestki dwójki razem z kapralem relacjonował dramatyczne wydarzenia. Po wojnie, gdy w państwie nastąpiły zmiany strukturalne zachował swoją niezależność i wybił się na pozycję, która umożliwiła mu założenie własnej gazety. Dzisiaj jest jej redaktorem naczelnym, a gazeta jest jednym z ważniejszych mediów opiniotwórczych w swoim regionie. Jego sukces to przykład działania, które przynosi sukces. Ale zdecydowanie ważniejsze od jego oficjalnych sukcesów i osiągnięć zawodowych, jest tajne życie, które prowadzi na własny koszt. Otóż nasz człowiek, ___________ _______________ (nazwisko utajnione ze względu na dobro państwa), dotarł do informacji, które sprawiają, że książę staje się osobą interesującą z punktu widzenia wywiadowczego. Od pewnego czasu dostawaliśmy sygnały, że co tydzień, dwa nasz bohater znika gdzieś, po czym odnajduje się w jakiejś mazurskiej wiosce, mając przy sobie jedynie butelkę wódki. Sam ten fakt nie byłby może aż tak dziwny, gdyby nie to, że, wykorzystując rutynową metodę, dowiedzieliśmy się, że każdorazowo wódka ta jest rosyjska. Książę? Mazury? Rosja? To zaczęło wydawać nam się podejrzane. Tym bardziej, że nie byliśmy w stanie uzyskać informacji, jaka była to wódka. Nasi informatorzy uparcie twierdzili, że nie są w stanie tego powiedzieć (a znali język rosyjski), ale upierali się, że była to wódka. To jak to jest, do choroby?! Piją i nie wiedzą, co piją?! Kaliningradzka domowej roboty czy jak?! No, coś tu trzeba w końcu ustalić, do choroby! Po każdej nieudanej operacji zaczynałem się zastanawiać czy aby na pewno mam do czynienia z kompetentnymi ludźmi. Zaczynałem analizować ich życiorysy, godzinami przesłuchiwać, sprawdzać umiejętności a i tak wychodziło, że to oni mają rację. Koniec końców musiałem przyznać, że nasze szkolenia jednak odniosły skutek. Niestety, nie dawało to w zasadzie żadnych rezultatów, jeśli chodzi o powiązania księcia. Aż w końcu, pewnego jesiennego dnia przyszła informacja – książę jeździ do Puław. No i co, że jeździ do Puław?! Mało to ludzi jeździ do Puław? Co mnie to obchodzi, że i on jeździ do Puław? Jednak nie dane było mi rozwinąć moich wymówek, gdyż do mojego gabinetu wkroczył jeden z naszych informatorów. Jak zwykle miał świetne informacje dotyczące Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej Patriarchatu Moskiewskiego, ale nie to mnie dzisiaj interesowało. Czekałem na księcia. Chciałem widzieć księcia. Gdzieś się przewijał, gdzieś się wymykał, gdzie ginął, by zaraz odnaleźć się gdzie indziej. Gdzie był teraz? Daty, fakty, nazwiska. Normalnie, miałem ochotę osobiście zająć się tą sprawą. Być w jednej osobie informatorem, łącznikiem i oficerem operacyjnym. Tego jednak nie dało się zrobić.

– O co chodzi?! –zacząłem ostro – tu się pracuje, a nie robi żarty z porządnych ludzi. A wy ciągle tylko przyjechał, odjechał… Co to to już w XXI wieku nie da się dowiedzieć z kim się spotkał?

– Przepraszam…

– Nie da się dowiedzieć? To za co wam płacimy? Za ten wasz staro-cerkiewno-słowiański na kursie? Nie!!! Za łacinę kościelną opanowaną do perfekcji? Nie!!! To może za starogrecki czy starogruziński? No? Nie!!! Nie, nie, nie! Też nie! Płacimy wam za waszą efektywną, podkreślam, efektywną pracę na odcinku wywiadowczym. Codziennie mamy go pod ręką. Jest w szkole. I co? I okazuje się, że porządna agencja wywiadowcza nawet współpracując z kontrwywiadem nie jest w stanie zdobyć najprostszej informacji. Ludzie, którzy ograli Waszyngton, Berlin, Moskwę, Pekin nie są w stanie zdobyć najprostszych informacji o człowieku, którego codziennie mijają na biskupiackich korytarzach? No, przecież to nie jest logiczne. Proszę tłumaczyć się, natychmiast.

– Otóż ja właśnie w tej sprawie.

– Tak?

– Mianowicie – książę jeździ do Puław. – powiedział i triumfalnie uśmiechnął się. Miałem wrażenie, że zaraz czymś w niego rzucę.

– No i co z tego? Mało to ludzi jeździ do Puław? – już miałem dosyć tej nic nowego nie wnoszącej rozmowy. Ale informator zreflektował się.

– No, tak, ale on nie dojeżdża do Puław.

– Tylko co? Wstępuje do cioci i pije ruską wódkę z miejscowymi? Tralalalala… miała babcia Kreml, ciotka miała pięć, spalił przewód teść, będzie miała sześć.

– Mniej więcej. Mianowicie, no rzeczywiście, wstępuje do cioci i pije wódkę z miejscowymi. Ale nie ruską, a polską. I dopiero wieczorem wychodzi. Idzie przez pola i lasy i dociera do miejsca o strategicznym znaczeniu. – teraz jego uśmiech był całkowicie uzasadniony. Chyba już wiedziałem, co ma na myśli.

– Jednostka wojskowa? – on tylko przytaknął. Kazałem monitorować sprawę i wprowadzić agenta w środowisko żołnierskie. Coś było na rzeczy. Tylko, że my wciąż nie wiedzieliśmy, co. Ale pierwszy krok w kierunku odkrycia tajemnic księcia został uczyniony.

* * *

Sędziwy Ojciec ostatnio coraz rzadziej pojawiał się w szkole. Było to dziwne, zważywszy na to, że przecież nie był tutaj na wakacjach, lecz w pracy. Jako się rzekło, Sędziwy Ojciec przestał pojawiać się w szkole. Na początku nie zwróciłem na to uwagi. Był – to był, nie było go – też tragedii nie było. Jednak po pewnym czasie zacząłem się zastanawiać, co mogło się stać z tak ważną dla mnie postacią. Nie pojawiał się nigdzie, nie było go w szkole, na mieście ani, co chyba najciekawsze, w mieszkaniu. Na wszystkie moje pytanie skierowane do władz szkolnych zawsze otrzymywałem jedną odpowiedź: Sędziwy Ojciec wykonuje zadania wchodzące w zakres jego obowiązków. No, cóż, nie wydawało mi się to wówczas normalne. W związku z tym zacząłem sam szukać śladów Sędziwego Ojca. Na początku udałem się do Marine.

Gdy wchodziłem na piąte piętro słońce rzucało jasny promyk przez balkon na piątym piętrze, oświetlając wychodzących powoli uczniów. Na początku były to dwie wysokie dziewczyny o twarzach jasnych i blond włosach, potem jakiś chłopak z liceum, a następnie ostatnie resztki gimnazjalistów.

Powoli wdrapałem się na szczyt schodów i niepewnie ruszyłem w kierunku pierwszych czekających na moje przejście drzwi. Zapadał mrok, robiło się ciemno, na dworze paliły się już latarnie, a park miejski zapełniał się ludźmi, którzy przechodzili koło niego nie zważając na nic, gdyż nie było czemu się przyglądać. Na jednej z ławek siedziała jakaś para studentów, na drugiej grupka licealistów rozmawiała, śmiejąc się głośno. Idylliczne popołudnie nie kazało spodziewać się niczego, co mogłoby zakłócić pewny porządek rzeczy i sprawić, że będą musieli przerwać swoje zajęcia. Postąpiłem krok ku nim... Czego tu szukasz? – to głos sprzątaczki wyrwał mnie z zamyślenia. Aha, Mopowa, czyli nie będzie łatwo – pomyślałem. – Chciałem obejrzeć widoki. – zacząłem.

– Nie są do oglądania. – odpowiedź była tak pewna, że zacząłem się zastanawiać czy ona przypadkiem nie ma racji

– Ale jak to nie są? – i wtedy coś zmieniło się

– Widoki są paralelną sumą rzeczywistości. Obrazem świata, którego nie dostrzegamy, a który jest zakorzeniony w nas, czy tego chcemy czy nie. Chodzi tu o rozdzielenie połówek człowieka idealnego. Podobnie jest z obrazami, a może właściwie trzeba powiedzieć, że jest to efekt jakiejś części tego rozdziału. Wiąże się to ciągłym brakiem czegoś, może w końcu brakiem mnie samego, może, gdy pragnę przestaję istnieć, albo gdy nie mogę uzyskać tego czego pragnę nie mogę być, staję się kimś innym. A jeśli cała sztuka wyrasta z cierpienia, które jest z kolei skutkiem opanowania człowieka prze boga, którego pozwolę sobie zdefiniować tutaj jako Artosa, który nie ma nic wspólnego z Eros czy Afrodytą, to wówczas stanie się kimś innym, brak mnie (łac. desum) jest czymś, co jest jednocześnie pragnieniem człowieka, a z drugiej strony pragnienia zaprzeczeniem. Widać tu wieczną walkę, rozerwania ducha człowieka na pół, ta walka stanowi podstawową składową każdej osobowości i to z niej właśnie wyrasta cała sztuka, kultura i cywilizacja człowieka. Tak, paralelna jedność połączona z tożsamą sprzecznością. – stałem zasłuchany, słowa sprzątaczki tchnęły jakąś odwieczną mądrością, chyba rację miał Abo, mówiąc, że „każdy sprzątacz zbierając i porządkując fizyczne brudy pozostawione przez ludzi staje się w pewien sposób powiernikiem brudów moralnych, oczyszcza z nich rzeczywistość i porządkuje świat, przez co uczy się rozumieć rzeczywistość i widzi ją jaśniej niż wiele innych osób".

– Ale, jak to, więc cała sztuka wyrasta z cierpienia?

– Nie inaczej. Cierpienie jest jednocześnie przyczyną, dla której człowiek zaczyna tworzyć, jej ostatecznym katalizatorem, jak również tym co znika lub nie znika po stworzeniu dzieła.

– Ale, jaki bóg, jaki Artos? Co jeśli nigdy się od tego nie uwolnię? Jak funkcjonować z takim piętnem na duchu? Jak uwolnić się od tego piętna?

– Nie da się. Jest to niemożliwe, stanowiłoby to zaprzeczenie wszelkich reguł człowieczeństwa. Człowiek z natury jest skazany na cierpienie. Jako, że sam jest jednak istotą, która nie skrzywdziłaby muchy, to musi wejść w interakcję z innymi, by tego dokonać. To właśnie interakcja, a więc życie społeczne winne jest konfliktom międzyludzkim, winne jest cierpieniu, z którego wyrasta sztuka, kultura i cywilizacja. Czy więc chcielibyśmy by było inaczej?

– Czy jednak nie jest tak, że każdy człowieka wewnętrznie pragnie szczęścia, a nie cierpienia? Czy ludzie nie chcą być naprawdę szczęśliwi?

– Ta z pozoru śmiała myśl, jest tylko typowym wymysłem twojego małego, pragnącego cierpienia umysłu. Wymyślasz sobie, że mógłbyś być wolny, ale od początku jesteś świadomy, że nie możesz tego osiągnąć, gdyż wiesz, że to stanowi nieodłączną część ciebie. Wobec tego myśleniem takim zadajesz sobie kolejne cierpienie, które jest twoim szczęściem. Tak, cierpienie jest największym szczęściem każdego człowieka. Tylko cierpienie może być przyczyną rozwoju i tylko w cierpieniu można być.

– Ale jeśli w cierpieniu nie ma mnie, to jak mogę być w cierpieniu?

– Jest to związane z rozdziałem ducha człowieka. Jest to tożsama sprzeczność, z której wynika cierpienie. Każde pytanie jest wyrazem cierpienia. Jednocześnie pragniemy być szczęśliwi, ale wciąż wracamy do pytań, które zawsze związane są z jednością człowieka idealnego. A przecież moglibyśmy zapomnieć o nim i żyć tylko życiem połówki, aby mieć życie pełne.

– Czyli... żyć tylko sobą i dla siebie? Ależ... to byłoby okropne.

– Widzisz... twoje myślenie jest już skazane na cierpienie, bo nie potrafisz wydobyć się ze swojego dualizmu. Zamiast poświęcić się sobie, poświęcasz się niemożliwej do zrealizowania idei idealnego człowieka. Nie jesteś w stanie zrealizować pełni swoich możliwości. Żegnaj więc.

I odeszła, przed nią jechał mop, a brudne zielone ubranie niknęło w szarości nocy. Lublin zanikał we mgle. Ja stałem wciąż w tym samym miejscu zamyślony nad słowami, które przed chwilą usłyszałem. Tak, to było zastanawiające.

c.d.n.

Michał Maciąg

Kaganiec oświaty (305)

Żył w niewielkiej osadzie pies Burek.
Imię miał jak na Burka przystało,
a postrachem był siedmiu podwórek,
bo od razu chciał gryźć, co się dało.

Poszła tedy z nim pani na rynek
(klnąc pod nosem jak szewc lub marynarz).
Tam najmował ceglany budynek
sławny doktór, co był w e t e r y n a r z .

Ów poważnie pomacał się w głowę

i pogładził swój wąs szpakowaty,
po czym rzekł: jest *remedium* gotowe,
co się zowie »kagańcem oświaty«.

Choć jął Burek wyć jak obłąkaniec,
bo przystało zacisnąć mu pyska,
nałożono mu wkrótce kaganiec
i zaczęto notować, co zyska.

Wpierw nauczył się liter języka.
Czyta wiersze i wnioski wyciąga.
(Z owych wniosków bezsprzecznie wynika,
że najlepiej jest czytać Maciąga.)

Potem czytał podręcznik o chemii
i podlewał rośliny do skutku.
Potem czytał podręcznik o ziemi
i co dzień badał glebę w ogródku.

Aż nauczył się arytmetyki
i policzył, co zyska, co straci.
A gdy poznał rachunku wyniki,
pomiarkował, iż się nie opłaci.

Już kaganiec pasował jak ulał,
już zbójecki charakter przycichnął,
już się każdy nad Burkiem rozczulał...
wtem się Burek rozczulił i czmychnął.

Nie pomogą tu mędrców traktaty
i na cuda nikt niechaj nie liczy.

Choć są dobre kagańce oświaty,

to oświata nie robi doń smyczy.

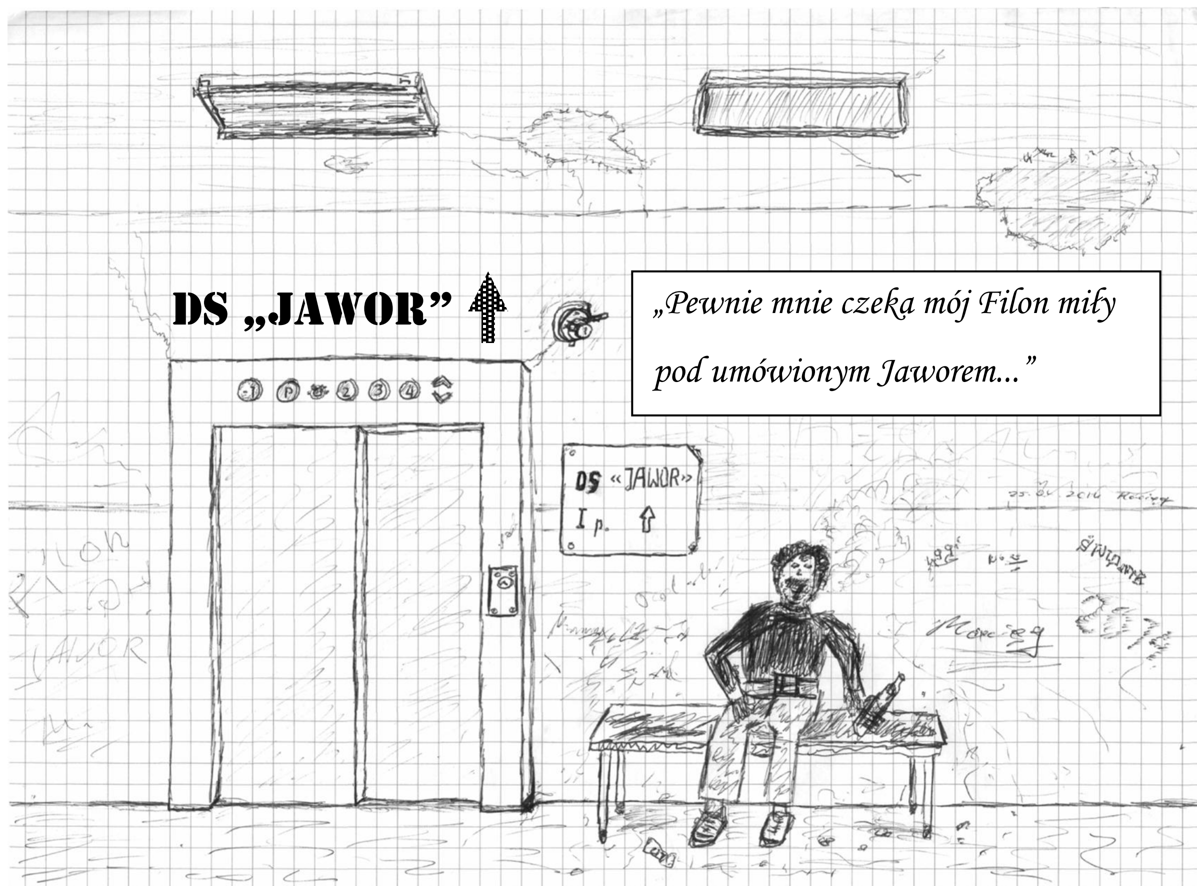
19 października 2014 roku

■

Michał Maciąg

Filon pod Jaworem

(obraz na kartce)



■

Zapraszamy do zgłaszania własnych publikacji. Czekamy na Państwa teksty i rysunki.

Propozycje publikacji oraz ewentualne pytania i komentarze prosimy kierować pod adres:

szanowny.redaktor@gmail.com